

MARZEC '68

LEON ROZENBAUM

W MARCU

JAK

W GARDZIU

WSTĘP

W MARCU 1968 BYŁEM DWUDZIESTOLETNIM STUDENTEM DRUGIEGO ROKU WYDZIAŁU EKONOMII POLITYCZNEJ UW. MIMO NIEDOSTATKÓW OKRESU DOJRZEWANIA MIAŁEM NA MŁODYM, ALE JUŻ NIECZYSTYM SUMIENIU, TAKIE PRZESTĘPSTWA, JAK CZŁONKOWSTWO W WYWROTOWYM KLUBIE „BABEL”, POPRZEDZONE LETNIMI KOLONIAMI TOWARZYSTWA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO ŻYDÓW W POLSCE, PODCZAS KTÓRYCH CZERWONE PIELUSZKI ZMIENIALI NAM NAJWYBITNIEJSI REWIZJONIŚCI. TAM, WRAZ Z INNYMI RACZKUJĄCYMI SYJAMISTAMI (ALUZJA DO RZEKOMEGO MARCOWEGO PLAKATU: „SYJONIŚCI DO SYJAMU”), SZKOŁONY BYŁEM W SZERZENIU SZKODLIWYCH, WRĘCZ TRUJĄCYCH TREŚCI, SKIEROWANYCH PODSTĘPNIE DO NIESKAŻONEGO POCHODZENIOWO SPOŁECZEŃSTWA.

Podśpiewując *Kalinkę*, *Majn jidysze mame* czy *Pamiętasz, była jesień*, ćwiczyliśmy się w przemycaniu między wierszami niecnych treści (każdy przecież wiedział, że Październik 1956 odbył się jesienią). Na studiach kontynuowałem rewizjonistyczne praktyki, podpisując wszelkie możliwe publiczne protesty.

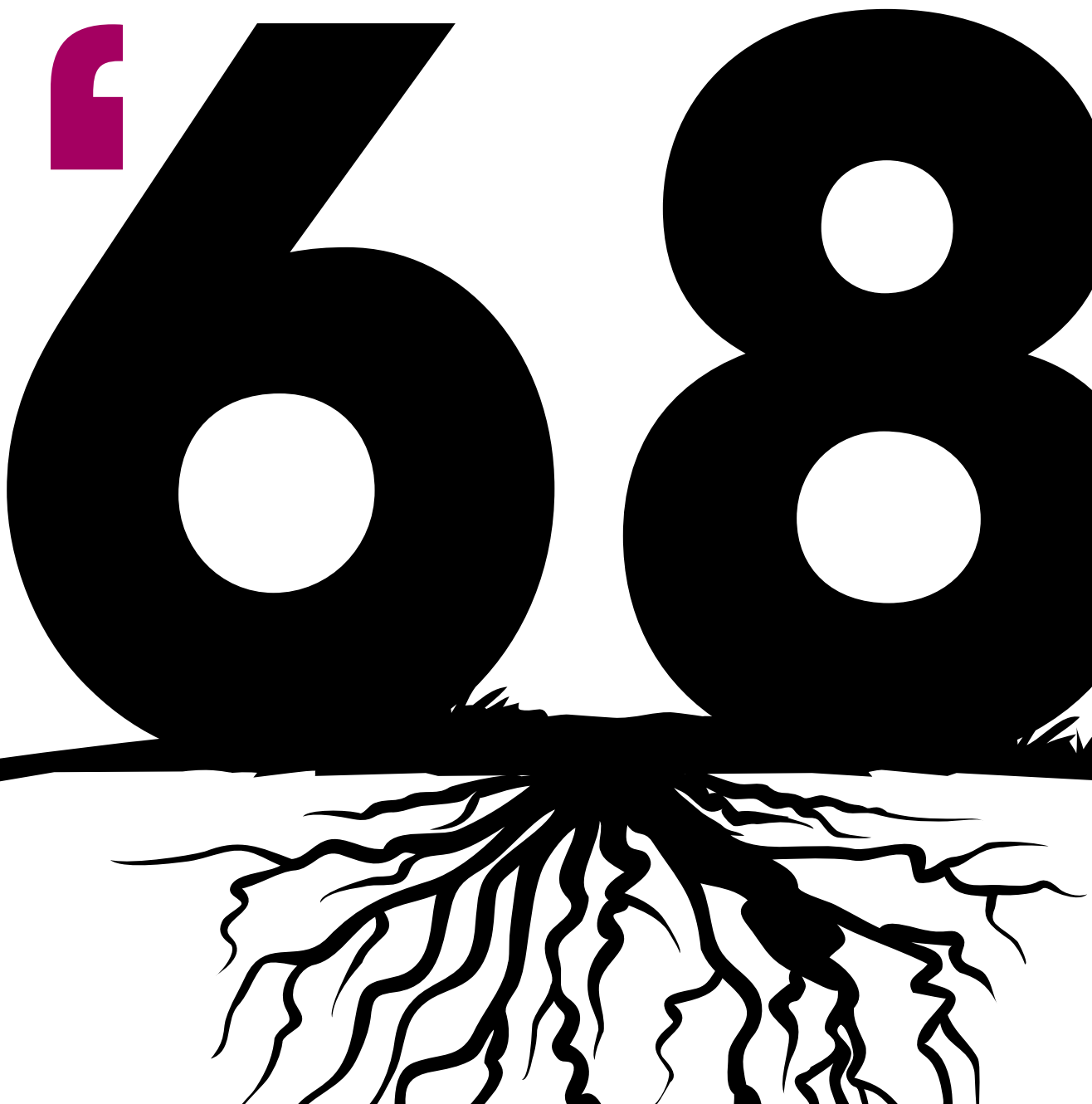
Czy mogłem więc udawać zdziwienie, gdy zostałem w połowie marca zawieszony w prawach studenta i wysłany do kompanii karnej, gdzie pró-

bowano wybić mi z głowy te wszystkie zaburzenia i wypaczenia? Zostałem skreślony z listy studentów i pouczony, abym nie ubiegał się o ponowne przyjęcie bez odbycia pełnej służby wojskowej.

Zrozumiałem, że moje błędy, wraz z winami rodziców i dziadków, są nie do odkupienia i wyjechałem, celebrując mały paragraf w dokumencie podróży, według którego „okaziciel niniejszego dokumentu nie jest obywatelem polskim”. Czułem się jak były podopieczny Tworek, który opuszczając tę czcigodną skądinąd instytucję, przyciska do piersi dokument stwierdzający, że już nie jest wariatem (używam tu trafnego określenia niezującego już Bronka Drozdowicza).

I
Marcowa sobota rano – walenie w drzwi. Otwieram, a tam żołnierz saltuje i mówi, że przystali go z WKR-u (Wojskowa Komenda Rejonowa) z dokumentami dla mnie. Wzywano mnie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Mówię, że jestem studentem i mam kategorię „D” (niezdolny do służby wojskowej w czasie pokoju). Żołnierz kiwa głową ze zrozumieniem i podaje mi drugi dokument: wezwanie do stawienia się przed wojskową komisją lekarską „w celu ponownego rozpatrzenia stopnia przydatności do odbywania zasadniczej służby wojskowej”. Aby nie targały mną jednak wątpliwości co do wyniku „badań”, do wezwania doczepiony był bilet kolejowy w jedną stronę, do jednostki wojskowej na Pomorzu.

Po krótkiej naradzie z rodzicami udałem się w podróż do mieszkania dziekana wydziału, ale nie zastałem go w domu. Pojechałem więc do „drugiego po Bogu”, docenta Ch., pierwszego sekretarza wydziałowego komitetu partyjnego. Po obejrzeniu dokumentów stwierdził, że nic nie rozumie, bo żeby mnie wcielić do wojska, trzeba byłoby mnie relegować ze studiów, a jedynym relegowanym wówczas z wydziału był Heniek Szlajfer. Z tym, czyli z niczym, wróciłem do domu. Nie pozostało mi nic innego, jak stawić się w poniedziałek przed komisją lekarską w Wojskowej Akademii Medycznej.



Wezwano nas kilku, wszystkich „niezdolnych do służby wojskowej” na „ponowne rozpatrzenie”. Nikogo nie znam. Do środka wołają nas po dwóch. Wchodzę z Piotrkim B. Za stołem siedzi trzech specjalistów od przydatności, a czwarty na stojąco zadaje pytania: „Co Wam jest?” i „Na co chorowaliście w dzieciństwie?”, a potem: „Co jeszcze?”, powtarzając tę frazę w połowie każdej odpowiedzi.

Pierwszy odpowiadać zaczął mój „wspólnik”:

- Angina pect.....
- Co jeszcze?
- Czerwon...
- Co jeszcze?
- Kokl...
- Co jeszcze?
- Malar.....
- Co jeszcze?
- Szkarłat.....
- Co jeszcze?

Zacząłem się krtusić ze śmiechu, bo nagle zdałem sobie sprawę z tego, że odpowiedzi deklamowane są w porządku alfabetycznym. Nie wiem, czy lekarze również to odkryli, ale faktem jest, że zostawili mojemu poprzednikowi kategorię „D” i do wojska nie wzięli.

Warto tu dodać, że czasami rodzice starali się interweniować. Jeden rodzic postanowił uchronić dziecko przed wojskiem i udał się do samego premiera, którego bardzo dobrze znał, bo pracował dla niego przez wiele lat. Nic nie pomogło, premier powiedział, że nic nie może zrobić. Drugiego rodzica poznałem w lutym 1985 roku, w Bloomington w Indianie, na konferencji *Polska międzywojenna 1918–1939* (gdzie mój brat prowadził sesję o mniejszościach narodowych). Artur S., znany krytyk literacki i publicysta, gdy dowiedział się, że służyłem w karnej kompanii, zaprosił mnie i brata na herbatę. Okazało się, że jego syn też dostał wezwanie do wojska, tyle że on poszedł prosto do kierownika wydziału kultury KC, towarzysza Kraški i zagroził, że jeśli syna wcielą do wojska, to on nie pojedzie na coroczny jesienny (znowu ta jesień!) Festiwal L’Humanité w Paryżu, gdzie tradycyjnie prezentował zalety liberalnego ustroju w Polsce. A jak nie pojedzie, to Francuzi zrozumieją, jak naprawdę jest w Polsce i może nawet domyślą się antysemityzmu. Tow. Kraško miał ewidentnie większe wpływy od premiera i młody S. do wojska nie trafił.

Gdy przysłała moja kolej, na pierwsze pytanie odpowiedziałem, że jestem krótkowidzem, poza tym jestem zdrowy. Zostałem wysłany do okulisty, kardiologa i urologa, rzekomo na badania. Pomyślałem, że przy okazji zbadam sobie wzrok. Specjaliści ograniczyli się jednak wyłącznie do podstemplowania papierka i posłali z powrotem do pokoju z komisją, gdzie czekał już na mnie kolejny papierek stwierdzający, że jestem zdolny do zasadniczej służby wojskowej z ograniczeniami (kategoria „C”).

II

Następnego dnia poszedłem na zajęcia do Pałacu Kazimierzowskiego i pokazałem moje nowe papiery. Okazało się, że koleżanka bardzo dobrze zna jednostkę, w której miałem spędzić następne dwa lata. Była to karna jednostka dla żołnierzy z przeszłością kryminalną. Koleżanka uprzedzała, żebym się nie bał, bo jej brat zna głównego gangstera w tej bazie i włos mi z głowy nie spadnie (ale ja nie bałem się kryminalnej przeszłości, lecz teraźniejszości). Narysowała mi z pamięci dokładny plan bazy, zaznaczając wszystkie dziury w płocie, przez które będę mógł przechodzić bez przepustki do okolicznych gospód. Pomyślałem sobie, że nie potrzebne mi są dziury w płocie, tylko jedno dobre przejście przez polską granicę, ale, nic nie mówiąc, z podziękowaniem wzięłem mapę. Po zajęciach, w drodze do domu uświadomiłem sobie z przerażeniem, że jak mnie złapią z mapą wojskowej bazy, to nawet do karnej jednostki nie dojadę. Porwałem mapę na kawałeczki i wyrzuciłem do kosza na śmieci jeszcze przed wyjściem na Krakowskie Przedmieście.

Następna sobota rano – znowu walenie w drzwi. Otwieram i widzę tego samego żołnierza, tym razem zupełnie pijanego. Próbuje salutować i bełkocze: „Oddać papiery, wojsko skasowane!” Widząc, że już go z tej radości potraktowano wódką w paru innych mieszkaniach, oddałem papiery bez dyskusji i z dużą ulgą. Nie na długo. Po kilku dniach przyszły nowe: wezwanie na tymczasowe ćwiczenia wojskowe oraz bilet kolejowy w jedną stronę do Hrubieszowa.

III

W wyznaczony wieczór stawiłem się na stacji kolejowej, gdzie spotkałem dotychczas mi nieznanych: Heńka T., Sławka K., Bronka Ś. i Michała J. Szybko dowiedziałem się, że cała czwórka została zawieszona w prawach studenta. Wywnioskowałem więc, że i mnie to dotyczy, tylko nie miał mnie kto zawiadomić, bo wydział w międzyczasie rozwiązano.

W jednostce w Hrubieszowie przywitał nas kapitan P., w mundurze lotniczym, co mnie zdziwiło, bo garnizon wyglądał dość przyziemnie. Spytałem o moją kategorię „C”, ciekaw tej służby z ograniczeniami. Kapitan P. odpowiedział, „już my wiemy jak wyście sobie tę kategorię D załatwiali”. Fasujemy mundury, sprzęt i do łaźni. Przydzieleni do pokoi i łóżek zapoznaliśmy się z innymi studentami-żołnierzami. Było nas razem dwudziestu paru. Nazwano nas Nieetatowy Batalion Szkoleniowy. Nieetatowy, bo miał cztery kompanie, a nie trzy. Dowódcami drużyn byli słuchacze drugiego roku trzyletniej Oficerskiej Szkoły Piechoty Zmotoryzowanej z Wrocławia, którzy w normalnych czasach odbywaliby już praktykę jako dowódcy plutonów. Studentów zebrano zaledwie na pluton, ale nazywano nas kompanią. Na oficerów politycznych wybrano ochotników spośród słuchaczy Wojskowej Akademii Politycznej, a zastępcą dowódcy batalionu do spraw politycznych był wykładowca tej uczelni, docent pułkownik Szcz.

IV

Zajęcia składały się m.in. z dziesięciokilometrowego marszu na poligon, gdzie każdy musiał wykopać prywatny okop (1x1x1m). Rozdano nam maski przeciwgazowe i nawet ze dwa razy puszczone na nas gaz, ale wyższe dowództwo zdecydowało zaniechać ćwiczeń, które przygotowałyby taki niepewny element jak my do walk ulicznych. W dni, kiedy poligon był zajęty, posyłano nas na tor przeszkód, który musieliśmy parokrotnie pokonywać. Między ćwiczeniami byliśmy wzywani na „rozmowy” z oficerami politycznymi. Ja zawsze trafiałem na kapitana P., który przejawiał wielkie zainteresowanie wydziałem ekonomii politycznej UW, a szczególnie Heńkiem Szlajferem, prof. Brussem i piątkami, które ten drugi rzekomo dawał temu pierwszemu lekką ręką. Odważyłem się zaprotestować, mówiąc, że Szlajfer był najlepszym studentem na roku. W odpowiedzi usłyszałem: „już my wiemy, jak wyście sobie te dobre stopnie załatwiali”.

Nie mieliśmy żadnego kontaktu ze światem. Byliśmy nawet odizolowani od reszty garnizonu w naszym baraku, a posiłki jadaliliśmy w stołówce oficerskiej. Po kilku dniach kadra oficerska zaprotestowała przeciwko karmieniu takich bananowców i wichrzycieli jak my przy oficerskich stołach. Od tego czasu podawano nam jedzenie w manierkach, a nie, jak dotychczas, na talerzach, ale pozostawiono nas w stołówce oficerskiej, bo izolacja ważniejsza była od walki klasowej. Nasza izolacja była tak dalece posunięta, że w dniu garnizonowej przysięgi wywieziono nas z jednostki, abyśmy nie psuli uroczystego nastroju. Zamiast tego zwiedzaliśmy i młyn i – jak powiedział jeden z oficerów – oglądaliśmy, jak klasa robotnicza trzuci się w pocie czoła, abyśmy my mogli beztrudno studiować.

Tego samego wieczoru zaprowadzono nas na projekcję filmu *Pancernik Potiomkin*. Miało to w nas zaszczepić pozytywne, że nie powiem, postępowe treści. Cieszyłem się na klasyczną scenę na schodach, gdy jednak doszliśmy do sceny, w której po pokazaniu zrobaczywałego mięsa pojawia się bosman strofujący marynarzy i tłumaczący im zaognioną sytuację polityczną słowami: „wszystkiemu są winni Żydzi i studenci”, projekcja została przerwana, a nas wysłano z powrotem do baraków. Sceny na schodach nie było mi dane doczekać.

V

Codziennie dostawaliśmy prasę, wybrane, ale nie zawsze te same gazety. Ktoś je dla nas starannie przebierał, wycinając „niepotrzebne artykuły”. Pewnego dnia w nasze ręce trafił „Sztandar Młodych” z relacją z przemówienia przewodniczącego Zarządu Głównego ZMS, Mariana Renke, której fragment utkwił mi w pamięci: „jesteśmy za demokracją, ale nie dla przeciwników politycznych”. Nigdy też nie brakowało kolejnych donosów na rewizjonistów i syjonistów z „Trybuny Ludu” czy „Słowa Powszechnego”. Na pytanie, kiedy wyjdziemy, nie dostawaliśmy żadnej odpowiedzi. Czytając dziurawe gazety, byliśmy pełni niepokoju o nasze losy. Zwróciliśmy się więc do doc. płk. Szcz. z prośbą o wyjaśnienie tej sytuacji. Pułkownik zgodził się i wyznaczył spotkanie na niedzielę.

Zaczął tak: „Spotykam się z wami na wasze życzenie, chociaż zdaję sobie sprawę, że niektórym z was, tym pochodzenia żydowskiego, nie będzie przyjemnie słuchać tego, co mam do powiedzenia. Tematem mojego wykładu będą szkodliwe wpływy syjonistów w Polsce”. Jeden z naszej warszawskiej piątki podniósł natychmiast rękę i poprosił o głos. „Obywatelu pułkowniku, chciałbym oświadczyć, że w mojej rodzinie syjonistów nie było i wszyscy jesteśmy syjonizmowi przeciwni”.

Obywatel pułkownik kiwnął głową i rozpoczął wyliczenie szkodliwych czynów popełnionych przez syjonistów przeciwko Polsce Ludowej, rzucając nazwiska znanych „zdrajców”. Przy Światle dodał, że już w młodości był on członkiem organizacji syjonistycznej, więc ja, chociaż pełen strachu, ale jeszcze bardziej ciekawości, zapytałem, o jakiej organizacji mowa. Pułkownik bez chwili wahania udzielił mi odpowiedzi: „Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej”. Więcej pytań nie miałem.

VI

Po dwóch tygodniach oznajmiono nam na porannym apelu, że zostaniemy przeniesieni. Przy naszych koszarach pojawiło się kilka autobusów Jelcz i późnym wieczorem wyruszyliśmy na zachód. Posadzono nas na środkowych, rozkładanych siedzeniach, po obu stronach mieliśmy po dwóch podchorążych. Przyszli oficerowie Ludowego Wojska Polskiego zabawiali się (i moją osobę) śpiewaniem przedwojennych piosenek antysemitycznych, ale że mieli dość ubogi repertuar, skończyło się na wielokrotnym odśpiewaniu „mam karabin, w karabinie dziurę...”. Nastroj był niemal pogromowy i może dlatego nie chciało mi się uczyć ich innych piosenek tego gatunku.

Nad ranem znaleźliśmy się we Wrocławiu, gdzie przeładowano nas z autobusów na wojskowe ciężarówki. Po kilku dodatkowych godzinach znaleźliśmy się w Dobrej nad Kwisą (w środku Borów Dolnośląskich), na poligonie należącym do Układu Warszawskiego. Tam czekały na nas namioty oraz ponad dwudziestu żołnierzy-studentów, a wśród nich trzech przywódców łódzkich demonstracji. Posłano ich do wojska, bo organizatorom represji marzyło się jeszcze wtedy powiązanie Józka Dajczgewanda z łódzkim ośrodkiem dywersji syjonistycznej. Kiedy bicie i tortury nie pomogły, przypomniano sobie o trzech przywódcach odbywających wówczas służbę w kompanii karnej, więc zwolniono ich z wojska, posłano do Łodzi i posadzono na parę lat.

VII

Po dwóch tygodniach w Hrubieszowie byliśmy już dobrze zaprawieni, chociaż jednym z większych problemów na poligonie była latryna. Trzeba było przyzwyczaić się do siedzenia z opuszczonymi spodniami na otwartym powietrzu wśród innych żołnierzy. Wkrótce jednak wstyd przegrał sromotnie z codziennymi potrzebami.

Nasi podoficerowie zabawiali się nami, jak tylko mogli. Szczególnie ten od poczty. Rozdziałał ją, odczytując nazwiska nadawców. Jeszcze w Warszawie zdecydowaliśmy, że tylko mój brat będzie do mnie pisać, więc kiedy przeczytałem, że „twój bliski przyjaciel już nie jest taki bliski”, zrozumiałem, że mój przyjaciel Leon K. wyjechał do Izraela.

Dostarczaliśmy też rozrywki kapitanowi kontrwywiadu, który lubił naszą czwórkę wzywać na „rozmowy”. Rezydował w obudowanej ciężarówce z piecykiem i kominem. Pytał mnie, czy jadałem obiady rytualne. Zapytałem więc, o jaki rytuał chodzi – okazało się, że o żydowski. Pytał również, czy są w obozie inni Żydzi. Odpowiedziałem, że nie wiem, dodając, że obawa o to, czy nas wypuszczą, nie pozostawia wolnego czasu na zastanawianie się nad pochodzeniem kolegów. Kapitan znał się jednak na swoim zawodzie i kiedy wezwał następnego, zaczął od pytania: „Dlaczego ukrywacie żydowskie pochodzenie? Rozenbaum powiedział, że jesteście Żydem”. Zaraz po rozmowie kolega przyszedł do mnie z pretensjami. Moje zapewnienia, że nic takiego nie powiedziałem, nie pomogły, bo kolega uwierzył kapitanowi.

VIII

Pewnego dnia (nie wiedzieliśmy jeszcze, że było to na dwa dni przed końcem naszych „ćwiczeń”) zjawili się kilku nowych oficerów. Dziwnie wyglądali: mieli na sobie nowe mundury z widocznymi kantami od prasowania, a przy pasie puste kabury. Wezwany przez jednego z tych „oficerów”, usłyszałem po drodze, jak ktoś mówi do grupki otaczających go studentów-żołnierzy: „niech Polska będzie źle rządzona, ale nie przez Żydów”. Na mój widok zamilkł i zaprosił mnie do pokoju. Po położeniu pustej kabury na stole zaczął wypytywać o moje związki z kulturą polską, które ja udokumentowałem deklamacją fragmentów z Mickiewicza i Słowackiego. Chyba ten egzamin zdałem, bo po dwóch dniach zostałem zwolniony i pierwszego maja znalazłem się z powrotem w Warszawie.

IX

W domu czekało na mnie wezwanie od rzecznika Komisji Dyscyplinarnej UW. Po przybyciu do jego biura, rzecznik oznajmił mi, że moje nazwisko znajduje się na liście studentów, którzy „brali udział w przygotowaniu, bądź aktywnie uczestniczyli w demonstracjach politycznych grupy studentów warszawskich wyższych uczelni”, podpisanej 19 marca przez Komendanta Stołecznego Milicji Obywatelskiej. Tłumaczę (Żyd Wieczny Tłumacz), że nic nie przygotowywałem i w niczym nie uczestniczyłem, ale idąc na zajęcia w Pałacu Kazimierzowskim, utknąłem w dużym tłumie – jak się okazało – wiecujących. Przyznaję się za to do aktywnej ucieczki przed gniewem aktywu robotniczego, wyrażanego za pomocą pałek i pejców.

Rzecznik zawodowo stwierdził, że nie może zignorować oskarżenia komendanta stołecznej milicji, ale dodał, że zażąda dla mnie jedynie nagany z ostrzeżeniem.

XI

Po wyjściu z biura rzecznika, na Krakowskim Przedmieściu spotkałem Natka T. i Jonasza K. Zanosili się ze śmiechu, widząc, że pod pachą trzymam tomik Szwejka oraz Lejzorka Rojtszwańca. Tłumaczyłem, że te dwie książki pomogły mi przetrwać karną kompanię, ale ich chichot nie milkł. Jonasz pokładał się na chodniku ze śmie-

chu. Ludzie zaczęli się nam przyglądać, więc widząc kolejne komplikacje mojego losu, przekonałem poetów, żeby poszli ze mną do Fukiera. Siedząc już przy winie, zakładaliśmy się, kto zna lepszy cytat z Lejzorka. Oczywiście wygrałem, cytując z rozdziału trzynastego: „Czasy ma się rozumieć takie. Nawet nie ma się na kogo obrazić!”

XII

Pod koniec lipca przyszło do mnie pismo z rektoratu informujące, że „w związku z upływem terminu zawieszenia w prawach studenta” mogę ubiegać się o przyjęcie na semestr letni, ale pod warunkiem podjęcia w międzyczasie pracy zawodowej lub odbycia służby wojskowej. Odebrałem to jak wiszącą nad moją głową groźbę dwuletniej służby w „przyjaznej” jednostce wojskowej z dziurami w płócie.

XIII

Złożyłem papiery na wyjazd, po dwóch tygodniach dostałem pozwolenie, więc na początku października wyjechałem z Polski. Pod koniec grudnia moi rodzice dostali adresowane do mnie pismo, że na 14 stycznia 1969 roku wyznaczono mi rozprawę przed komisją dyscyplinarną UW. Nie wiem do dzisiaj, czy wymierzono mi karę nagany z ostrzeżeniem. „Nieusprawiedliwiona nieobecność nie stanowi przeszkody w rozpoznaniu sprawy” i kto wie, czy moja nieobecność była usprawiedliwiona.

Epilog

Nie chcąc wypowiadać się na temat, czy mamy być wdzięczni Gomułce, czy nie, kończę anegdotką z nigeryjskiego Lagos. Grupka byłych polskich obywateli mieszkających w Izraelu pojechała do Lagos pod koniec lat 80., aby znaleźć pracę, korzystając z tamtejszego cudu gospodarczego, spowodowanego gwałtownym rozwojem przemysłu naftowego. Po pracy często chodzili razem na przyjęcia oraz brydża. Pewnego wieczoru *attaché* polskiej ambasady, który jakiś czas temu – w wiadomym celu – przyczepił się do nich, powiedział, że jest pełen podziwu dla całej grupy. To niezwykle, że wyjechali do Izraela bez znajomości języka, skończyli tam studia i teraz robią kariery na całym świecie. Odpowiedział mu nieżyjący już Julek Bobrow: „myśmy byli robieni na eksport!”.

Koniec

Leon Rozenbaum – urodził się w trzecią rocznicę wyzwolenia Oświęcimia, w Łodzi, dokąd dotarli jego rodzice wraz ze starszym bratem po wojnie. Gdy tylko zaczął chodzić, rozpoczął marsz w kierunku Warszawy. Szczęśliwie rodzice dostali w tym samym czasie pracę w stolicy, co zapobiegło geograficznemu rozpadowi rodziny. Wykształcenie ogólne pobierał na początku w Liceum im. Reytana na warszawskim Mokotowie, po dwóch latach przeniósł się na Saską Kępę, gdzie otrzymał maturę w Liceum im. Prusa. W 1966 r. rozpoczął studia na Wydziale Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Jesienią 1968 roku wyjechał do Izraela, gdzie na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie studiował ekonomię, kafeteriologię oraz relaksował się na kampusowych trawnikach (niekoniecznie w tej właśnie kolejności). Latem 1980 roku przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie obecnie pracuje w tamtejszym magistracie, w dziale kadr miejskiej agencji zajmującej się dystrybucją pomocy socjalnej dla chorych na AIDS.